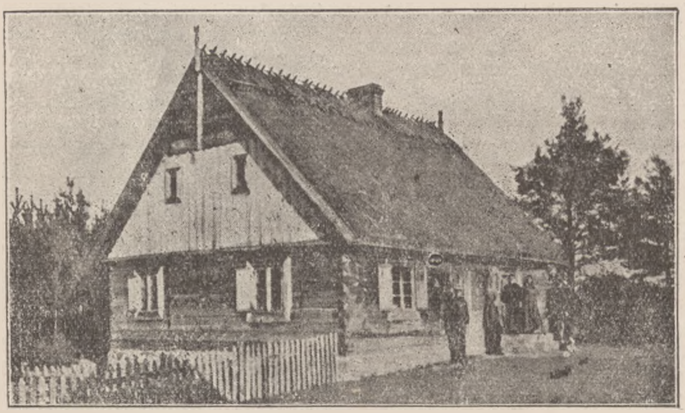
Rok VI. **Nr. 9.**

HARCERZ



CHATA MAZURSKA.

W dążeniu odwiecznem do wyrugowania ludności słowiańskiej zatrzymała się fala germańskiej mocy, a najczęściej przemocy na silnym wale naszego narodu. Ponieważ jednak zawsze szukaliśmy w narodach przyjaciół, ponieważ nie wierzyliśmy stale i nieprzerwanie, aby ktoś chciał nas zgnębić wówczas, kiedyśmy mieli byt niepodległy, dlatego przegrywaliśmy często i pozwalaliśmy się wypierać ciągle. Kiedy dziś, w 400 lat po wspaniałej, pełnej blasku i zewnętrznej siły uroczystości hołdu pruskiego, — policzymy swe siły tam, gdzie z naszej woli i łaski rządzili książęta pruscy, z przerażeniem widzimy, że owe Prusy Książęce jeszcze tylko wsród ludu mają polski element, teraz gnębiony, prześladowany, uciskany wszelkiemi sposobami. Niema tam już związanego z Polską rycerstwa, niema warstwy ziemiańskiej, a mieszczaństwo, niegdyś do Polski tęskniące — dziś obce nam i wrogie.

A przecież były czasy, kiedy stamtąd szło do Polski wołanie: Ratuj nas przed Krzyżactwem! Dziś słychać je również — wprawdzie tylko lud mazurski woła w stronę Rzeczypospolitej: Ratuj nas—ale czy my słyszymy to wołanie?

ZGUBIONY GUZIK.

OMYŁKA ROYA.

Dzisiejszej nocy chcę być wikarjuszem — oświadczył jeden z dedektywów.

Sądzę, że najlepiejbyś wyglądał, jako chłopak, służący do Mszy, o twarzyczce anioła — zaznaczył drugi.

Czyż ja naprawdę jestem już podobny do anioła? — zapytał niedowierzająco pierwszy.

Ostatecznie możnaby było ra to się zgodzić. Frank Darrell z przesadną dokładnością przyjrzał się twarzy swego pomocnika.—Gdyby twój majątek był zależnym od piękności twojego oblicza, nie dziwiłbym się wcale, gdybyś nigdy nie pracował ciężej, niż teraz.

Roy, śmiejąc się, pobiegł na górę, aby wybrać odpowiednie ubranie na nocną maskaradę. Po chwili powrócił z paczką znacznych rozmiarów.

To będzie wspaniałe! — zgodził się Darrel.—Jednakże naprawdę ubranie nie ma tak wielkiego znaczenia, jak dobra charakteryzacja. To też zaraz podmaluję swoją twarz, ty zaś dobrze wyszoruj swoją!

Od kilku tygodni Darrell i Roy pilnowali składów lokomotyw dużego Towarzystwa Zjednoczonych Kolei Żelaznych. Budowano tam w sekrecie nowy typ lokomotywy i zarząd poufnie był poinformowany, że w mieście znajdują się agenci cudzoziemskich kompanij, którym ogromnie zależy na poznaniu planów wynalazku.

Gwałtowne szarpnięcie dzwonka poprzedziło wejście kolejowego posłańca, który doręczył agentom list od głównego inżyniera-konstruktora.

— Pan Roges wzywa nas natychmiast— oświadczył Darrell, zwracając się do Roya.

Wynalazca był mocno zdenerwowany. Sprawdził zamknięcie drzwi, zanim usiadł przy biurku, i zaczął rozmowę przyciszonym głosem.

— Prace przy budowie lokomotywy szybko posuwają się naprzód, panie Darrell — oświadczył inżynier. — Za dwa tygodnie maszyna będzie już zupełnie gotową do użytku.

Zatrzymał się przez chwilę i wytarł czoło chusteczką.

— Nasz patent chroni nas od naśladownictwa, ale sama idea podstawowa wynalazku może być zrealizowana w lokomotywach o odmiennym typie. Skoro tylko sekret stanie się wiadomym, bez wątpienia będziemy mieli licznych konkurentów. Będę się starał zapobiec temu, możliwie jak najdłużej. T-wo musi przecież zrobić dobry interes na tym wynalazku.

— Czy może mi pan powiedzieć dokładnie, na czem polega wynalazek?—zapytał Darrell.

Inżynier podejrzliwie rozejrzał się dokoła.

Parowa lokomotywa jest już dziś pogrzebaną— tłumaczył szeptem.— Wszędzie rozlegają się głosy za elektryfikacją kolei, elektryfikacja zaś jest zbyt kosztowną. Wynalazek nasz polega na tem, że budujemy lokomotywę, w której para z kotła wytwarza popędową siłę elektryczną. Skutkiem tej modyfikacji jest fakt, że w lokomotywie zwykłej wielkości wytwarzamy siłę dwa razy większą, niż siła dotychczasowych parowych lokomotyw.

W głosie Rogesa dźwięczała zarazem duma i zazdrość.

— Pozwólcie, panowie, że pokaże wam wynalazek—naglił widząc powątpiewanie w oczach Darrella. Idąc za inżynierem, dedektywi znaleźli się w sali, gdzie kilku zaufanych robotników pracowało przy budowie lokomotywy. Poszczególne części robione były w różnych firmach kraju i dlatego też jej zewnętrzny wygląd różnił się nieco od normalnego typu. Kocioł, komin i koła były identyczne.

— Cylinder i dźwigi są zastąpione przez pasowy turbo-generator — tłumaczył inżynier, wkraczając w techniczne szczegóły.

Powróciwszy do gabinetu, inżynier przedstawił swoje obawy Darrellowi.

— Jeżeli ktoś zamierza wykraść plany wynalazku, to uskuteczni to w ciągu paru najbliższych dni. Chciałbym przeto być zupełnie pewnym, że czujność wasza nietylko nie osłabnie, lecz przeciwnie zwiększy się! Posiada pan świetną opinję, panie Darrell, i przewyższa pan pod każdym względem naszą regularną policję. Może pan być spokojnym, że w słowach moich niema przesady.

— Może pan na mnie polegać! — poważnie odpowiedział Darrell. Po zapoznajomieniu się z planami i zamknięciu ich w kasie ogniotrwałej, detektywi powrócili do mieszkania, celem odpowiedniego przebrania się do nowej pracy.

Postanowiono, że Darrel przebierze się za wikarjusza, Roy zaś za jego chłop-

(Ciąg dalszy na str. III).

HARCERZ

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI. 15 MAJA 1925. Nr. 9.

Nie damy ziemi...

rota ślubowania z r. 1925.

Nie damy ziemi, skąd nasz ród;
Obronim ją od wroga,
Przy nas — praojców naszych trud,
Przyszłości świata droga.
Nie damy, by nas przemógł wróg,
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie damy ziemi, której pług
Orał miłości łany.
Spłacim Ojczyźnie naszej dług,
Nam do spłacenia dany.
Nie damy, by nas zgnębił wróg,
Tak nam dopomóż Bóg!

Nie damy ziemi, której dróg
Krzyż Chrystusowy strzeże,
Gdzie Wiara, Polsce wiernych sług,
Ma w duszach ich puklerze.
Nie damy, by nas deptał wróg,
Tak nam dopomóż Bóg!

Helja.

ODPOWIEDŹ NA WEZWANIE.

Ciężko mi pisać dla harcerzy.

Sztywnieją mi palce, gdy mam kreślić dla nich jęczące we mnie wyrazy.

W szeregach harcerskich jeden mi ubył — „harcerz złoty".

Przyzostał w Nałęczowie i w milczeniu kamiennem od tylu lat już — nie czuwa.

Świetlista jego laska, która dla oczu mych i dla świata liście i owoc wypuścić miała, uschnięta jest i połamana.

Lecz, jak powiadali dawni wieszczowie, choć umarłym zawierają się usta, ideja nieśmiertelna pozostaje.

I gdy nasze zawrą się usta, ideja nieśmiertelna pozostanie.

Wam to, młodociani piastunowie lasek świetlistych, przyjdzie może niezadługo zajrzeć w jej oczy przeraźliwe.

Powietrze polskie nasiąka znów szaleństwem nawałnicy. Przeklęte wichury wojenne znów w rubieży naszczekują. Wypadnie wam może ujrzeć czystemi oczyma odrażające choroby ludzkości, wrzody i rany, które za dni pokoju tają się we wnętrznościach społeczeństw. Zobaczycie może czystemi oczyma podłość cywilizatorów, ukrytą w fałdach obłudy i za maską kłamstwa, — jawne łotrostwo handlarzy ludami.

Nie pożąda ani jeden z nas jednej piędzi ziemi niemieckiej.

Nie chce ani jeden z nas władzy nad jedną duszą niemiecką.

Nie wyciąga ani jeden z nas dłoni po przemoc nad władzą, nad pracą, nad mową niemiecką.

Jesteśmy synami i czcicielami pracy.

Nie pożądamy niczego, co jest poza granicami, gdzie już mowa nasza wygasła.

W obliczu tej prawdy, a na zasadzie sprawiedliwości i miłosierdzia, wy prawdomyślni i prawdogłośni, musicie z czasem zażądać układu i sami układać zazębienie się ludów ruskich o lud polski, zahaczenie się plemion, dziejów, spraw, stanu posiadania i stosunków na wschodzie i na południu.

Nie możemy podobnie z narodem niemieckim układać zazębienia narodu o naród na zasadzie sprawiedliwości i miłosierdzia, gdyż naród niemiecki zagładę nam niesie.

Musimy bronić się od zagłady.

Walkę na śmierć o istność naszą nakazuje nam miłość ojczyzny.

Smętek nie darmo z kaszubskiego wybrzeża na statku angielskim do Anglji odjechał.

Nie zmarnował tam czasu napewno i niczego nie zaniedbał.

Patrzcie, prawdomyślni i prawdomówni, których usta kłamać nie umieją i nie mają prawa, gdyż przysięgliście Bogu i Polsce wiary dochować, jaka to jest sprawiedliwość cywilizatorów!

Chcą oto, żeby ostatni szczątek kaszubski oddany był na zniszczenie.

Chcą oto, żeby język przedziwny, prastary, przecudny, przebogaty, ostatni ślad mowy ludów w pień wyrąbanych, do nogi wytraconych, uległ do cna zagładzie.

Tego się domaga interes handlarzy ludami.

Patrzymy przecie obojętnie, naród olbrzymi, wyjarzmiony z niewoli, jak w naszych oczach wymiera, — skoro Niemcom został wydany, — język mazurski.

Patrzymy obojętnie, jak w obcy naród zamienia się plemię jezior, kość z kości naszej i krew z naszej krwi.

Patrzcież i wy harcerze!

Wśród nas, olbrzymiego narodu i wielkiego mocarstwa, jeden tylko człowiek nie wyrzekł się tej kości z naszych kości i krwi z naszej krwi, — nie uląkł się, nie ustał, nie zapomniał, — Bolesław Limanowski.

Dziewięćdziesiąt dwa lata dźwiga na barkach.

Sam jeden przemierzył oto Mazury.

Stopą niemal stuletnią obszedł nieodkupione ziemie i okrążył granice, a wszystko nieulękłą źrenicą obejrzał.

Uczynił tosamo, co czynił zawsze przez swe długie, pracowite, wielkie, cnotliwe życie.

Uczył rozwiązywać zawiłości życia ludzkiego polskim sposobem i pisał żywoty bohaterów.

Ostatnią podróż przedsięwziął dla duszy swej i dla Polski.

Wy, których młode serca pałają dla przyszłego szczęścia Polski, wspominajcie w hasłach waszych to imię.

Wy, którzy zdrowemi płucami wciągnąć będziecie zmuszeni wichurę wojenną, gdy w nas uderzy, i na bagnetach waszych rozpiąć sławę zwycięstwa, patrzcie dziś pilnie w Szczytno!

Betonowemi rowami łączy tam sąsiad nasz jezioro z jeziorem.

Może, kiedy zechce, w każdym z tych rowów ustawić Grubą Bertę i bić dzień dnia i noc w noc w samo serce Warszawy.

Czuwaj! Czuwaj! Czuwaj!

Stefan Żeromski.

Uzyskawszy powyższy artykuł od p. Stefana Żeromskiego, pragnęliśmy Czytelnikom naszym dać nieco wiadomości o Wielkim Autorze, by, zetknąwszy się z duchem Jego, z tych myśli, które nam łaskawie podał, mieli ogólne pojęcie o Jego życiu i wielkiej twórczości. W tym celu uprosiliśmy p. Zofję Grzymałowską o łaskawe napisanie dla „Harcerza" artykułu, który niniejszem podajemy.

Redakcja.

O STEFANIE ŻEROMSKIM.

Stefan Żeromski, jeden z najwybitniejszych naszych dzisiejszych pisarzy, urodził się w r. 1864 w Strawczynie, w ziemi Kieleckiej. Od roku 1895 zaczął wydawać swe utwory: pierwsze p. t. „Rozdziobią nas kruki i wrony", „Syzyfowe prace" i jeszcze parę innych pod pseudonimem Maurycego Zycha, późniejsze pod własnem nazwiskiem, a więc: „Ludzie bezdomni", „Popioły", „Powieść o udałym Walgierzu", „Duma o Hetmanie", „Dzieje grzechu", „Sułkowski", „Róża", (pod pseudon. Józefa Katerli), „Promień", „Uroda życia", „Wierna rzeka", „Sen o szpadzie", „Walka z szatanem", aż do ostatnich — „Wiatr od morza", „Turoń", „Przedwiośnie" i wiele jeszcze drobnych nowel, rozpraw i artykułów.

Trudno w paru słowach scharakteryzować treść i znaczenie całego ogromu dorobku literackiego znakomitego autora, któremu nic ludzkiego nie jest obcem, a wszystko, co polskie, aż do szału umiłowanem.

Żadne z kolejno ukazujących się dzieł Żeromskiego, czy to w czasach naszej niewoli, czy też w ostatnich latach budowy nowego życia — żadne nie przechodziło bez wywoływania wielkiego wrażenia wśród ogółu czytającej publiczności naszej. Każdemu wnet po ukazaniu się towarzyszyły szeregi krytyk i komentarzy, każde wywoływało jednocześnie głosy wielkich uwielbień i takichże wątpliwości i zastrzeżeń — dlaczego? Bo każde wstrząsało myślą zbiorową, zarówno przez treść, jak i formę poruszanych tam zagadnień, każde targało sumieniem, apelowało do serca ogółu obrazami bólu i cierpień życia. Żeromski— to piewca życia z całym jego splotem bólów i radości, dobra i zła, najpiękniejszych wzlotów i najniższych upadków... ośrodkiem zaś tych przejawów, przecie, jest zawsze dusza ludzka. Do duszy człowieka więc zwraca się autor z ogromem miłości dla niej we wrażliwem swem sercu; mądre jego oczy palą się żądzą przeniknięcia w głąb, w otchłanne, najdalsze tajniki tej duszy, wszechwiedząca myśl dociera do źródeł utajonych dążeń i tęsknot, do wrodzonych instynktów i nareszcie do przyczyn przeżyć ludzkich wzruszeń i wrażeń.

Cechą olbrzymiego talentu Żeromskiego jest prócz potęgi wyobraźni, mocą której otwiera przed naszym wzrokiem życia i przeżycia dusz ludzkich—jest ogromna szczerość. Szczerość ta nie uznaje żadnych kompromisów, ani liczenia się z wrażliwością przeciętnego czytelnika, ani tem bardziej z utartemi wymogami dla rodza-

jów literatury powieściowej, lub pojęciami ogółu.

Wrażliwe jego, nadmiernie nieraz, serce wstrząsa się bólem bezbrzeżnym przed tem, co ujrzały wnikliwe oczy w głębokich mrokach życia ludzkiej duszy; każe on i naszym sercom kurczyć się z bólu i z natłoku wrażeń zbyt silnych, ale wewnętrzny nakaz szczerości woła silniejszym jeszcze głosem: to jest życie, prawda, że ciężkie i trudne, a nieraz wstrętne, a nawet ohydne, lecz to życie, takie, jakie nas otacza.

Jego twarde tryby miażdżą często w swym bezlitosnym pędzie szlachetniejsze, piękniejsze odruchy i serca, nie zmniejsza to jednak, ani ich wartości, ani piękna. Jak cudowne kwiaty na błotnistem trzęsawisku, wykwitają ciche poświęcenia osobistych dążeń do szczęścia, lub przeczyste, błyskiem bohaterstwa opromienione, czyny.



STEFAN ŻEROMSKI.

To jest życie ogólno-ludzkie — pełne dysonansów złych i zgrzytów bolesnych, bo „wroga harmonji i pogody życia w nas samych (wedle słów autora) szukać należy“. Synteza bowiem dobra i zła w samym musi się dokonać człowieku, a nie przyjść z zewnątrz, siłą przymusu narzucona.

A życie polskie? życie walczącego z uciskiem narodu? Szeroką gamą barw i dźwięków rozsnuło się w twórczości Żeromskiego, wyodrębnić go nie można, bo gorące umiłowanie ojczyzny przenika wszystkie utwory, podkreślić tylko należy te pierwsze, gdzie pod rzewną nutą melancholji kryje się żar tajonego uczucia. Autor przykłada ucho do piersi młodocianych, by słyszeć, jak biją tam serca polskie, czy polskości w nich nie zdławił mundur uczniowski w szkole rosyjskiej, czy też szynel żołnierski, czy odzywają się tam ciche echa szeptów sosen na mogile powstańczej?

Na polach Cecory powołuje do życia wizję bohaterskiej postaci hetmana i wczuwa się w lęk jego wielkiej duszy, drżącej nie przed nieprzyjacielem tylekroć silniejszym, a przed „niewiedzącą, nie znającą siebie myślą polską”; w nurtach „Wiernej Rzeki” chce odnaleźć wspomnienie tych dni ofiarą wielkich, tych uczuć miłością największych, których jedne echa kryje fala wierna w swych głębinach, a inne niesie w bezkresną dal, migotliwą i skrzącą się dal... Nadeszły czasy wielkie. Powiał wiatr swobody. Nadeszły też czasy znojnych trudów i wysiłków — „Początek świata pracy”, od nowa wykuwać na-

leży własne, wolne życie. Lecz do zmęczonych płuc wtargnął ostry, rzeźwy, życiodajny wiew — to „Wiatr od morza". Tam u tych samych wybrzeży siwego Bałtyku, gdzie odbyła się pierwsza msza ś-go Wojciecha, tam stanąć nam należy mocną i niewzruszoną stopą, by oprzeć się innym zdradliwym, śmierć niosącym, powiewom wschodu.

Taki brzmi nakaz w ostatnich utworach autora — nakaz tak silny i wyraźny, jak były niemi słowa wypowiedziane w legendzie o Walgierzu wdałym. Malują one jednocześnie stosunek autora do własnego społeczeństwa: „*Moje* siły są z *waszych* pancerzów i szczytów, pióra *mego* szyszaka wzdyma wicher *waszego* krzyku przed bitwą. *Moje* siły nie są moje i nie są *wasze*, jeno są *nasze*. A siły nasze zrosły się w *Naszą* rzecz wiekuistą, Rzeczpospolitą".

Zofja Grzymałowska.

MAZOWSZE PRUSKIE.

I. Zarys historyczny.

Wzdłuż północnej granicy dawnego królestwa Kongresowego ciągnie się kraik niewielki, liczący zaledwie 2.200.000 mieszkańców, będący jednak barjerą, która oddziela Polskę od morza Bałtyckiego — to Prusy Wschodnie. Na pierwszy rzut oka, podróżny przejeżdżając kolejami z miast do miasteczek wschodnio-pruskich, odnosi wrażenie, jakgdyby się znalazł w sercu Niemiec; jednak oddaliwszy się od „środowiska kultury" niemieckiej, miasta, na szczerą wieś, pomiędzy jeziora, przekona się że był w błędzie, albowiem znajdzie tak wiele rodzimego, że mimo woli spyta: skąd się ta polskość wzięła?



WYBRZEŻE JEZIORA NIDZKIEGO.

Uczeni niemieccy tej miary, co Berthold, Bender i Obermüller oraz świetny znawca ziemi mazurskiej, stanowiącej południową część Prus Wschodnich dr. Toeppen*) przyszli po długich studjach do przekonania, że pierwotnymi mieszkańcami całej przestrzeni pomiędzy Polską a Bałtykiem — byli Słowianie, pokrewni osiadłym nad Wisłą Mazurom.

Dążące od strony morza Czarnego szczepy prusko-litewskie, zatrzymane w swym zwycięskim pochodzie przez fale Bałtyku, osiadły na jego pobrzeżu, wyparły częściowo tubylców, bądź też rozgościły się wśród podbitej ludności, zakładając warowne, jak na one czasy, grody.

Powszechna i popularna dziś nazwa „Prus" nie była ogólną. Dopiero w 13-ym wieku odróżnia się dokładnie Sambitów od Prusaków**). Nazwa „Prusia" oznacza według słownika Obermüllera w języ-

*) Dr. M. Töppen. Geschichte Masurens, str. 3.

**) Dr. Sieniawski. Biskupstwo warmińskie, str. 103.

ku celtyckim małą lesistą krainę, czyli Małą Ruś (P-rusja). Została ona rozpowszechniona dopiero po świecie przez biografów św. Wojciecha, który, wyprawiony tam przez Bolesława Chrobrego, śmierć męczeńską poniósł w 997 roku. Nazwa ta była używaną przez Polaków, jak się wówczas sami Prusowie nazywali, wiadome nie jest. Że ludność ziem pruskich nie była jednolitą, lecz stanowiła dwie odrębne warstwy, dowodzą charakterystyki pozostawione przez biografów św. Wojciecha. Kampanarjusz, naprz. pisze, że byli Prusowie ludźmi nader chciwymi, że bogiem ich był żołądek. Adam Brameńczyk nazywa ich natomiast bardzo łagodnymi, chwali ich rzetelność, bezinteresowność i zdolność do poświęceń. Są to charakterystyki dwóch różnych warstw, czyli odłamów społeczeństwa. Poświadcza to przypuszczenie stara „Kronika Oliwska“, nazywając „Pruthenos“ warstwą panującą, „Pomezanos“ zaś ludnością rdzenną; potwierdza to stare podanie o Galindji, przytoczone przez kronikarza niemieckiego Dusburga, podane w języku polskim po raz pierwszy przez ks. Murinuisa**), autora „Kroniki pruskiej“, drukowanej w Toruniu w r. 1582.

Prusowie zapożyczyli od Słowian, wyższych kulturą, wiele dorobku duchowego. Przyjęli oni wyobrażenia i obrządki religijne, kult dla świętych drzew. Opisy zwyczajów, pozostawione przez Szymona Grunaua, (z Gronowa), mnicha z Tolkmicka pod Fromburkiem, tchną duchem czysto słowiańskim. Język pruski wchłonął w siebie wiele wyrazów słowiańskich oraz nazwy miejscowości, które znajdujemy w aktach krzyżackich z końca XIII i początku XIV wieku, jak Pisanica, Samiń nad Samińcem, Sławka, Omulew, Mielno, Sitno, Dąbrowno i inne.*)

Słowianie często powstawali przeciwko najeźdźcom, którzy dla zachowania ładu zmuszeni byli utrzymywać liczne warownie. Kiedy Krzyżacy, sprowadzeni przez ks. Konrada Mazowieckiego dla obrony ziem jego przed Prusakami i wprowadzenia chrześcijaństwa, wkroczyli na terytorjum pruskie, znaleźli wielu „zdrajców sprawy pruskiej“. Ludzie ci, noszący przeważnie imiona słowiańskie, dawniej już zostali nawróceni, a widząc w rycerzach Zakonu „braci w Chrystusie“, wybawicieli z niewoli, przystępowali do nich. Monarchowie polscy często przedsiębrali wyprawy przeciwko Prusom i to ze zmiennem szczęściem: Bolesław Chrobry, Bolesław Krzywousty, Bolesław Kędzierzawy; w XI wieku zawładnęli Polacy ziemią Sasinów, lecz jej dla braku materjału ludzkiego nie objęli. Księciu Kazimierzowi kujawskiemu i łęczyckiemu przyznał papież Inocenty ziemię Gołędzką w r. 1254, lecz na skutek krętactw krzyżackich w Rzymie, musiał się jej Kazimierz zrzec.

Wytępiwszy całe rody opornych Prusów, Krzyżacy zagarnęli ich ziemie i powzięli myśl skolonizowania pustych obszarów. Najodpowiedniejszym i najłatwiejszym do sprowadzenia okazał się o miedzę siedzący Mazur. Bartnicy i rybacy tedy mazurscy, zwabieni obietnicani i przywilejami mistrzów krzyżackich, a także bogactwem lasów i rozlewnych jezior, osiadali już w pierwszej połowie 14-go wieku na opuszczonych obszarach ziemi sasińskiej, czyli

**) Bibljoteka star. pisarzy pol. t. I (wyd. 1854).

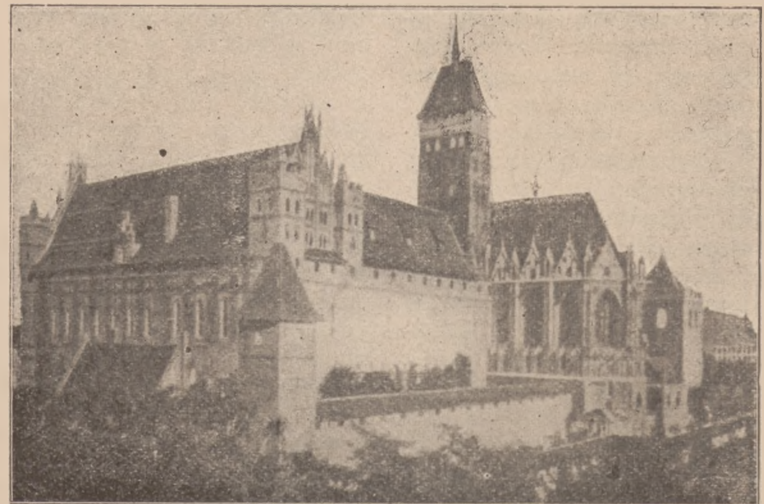
*) Prof. Wojciech Kętrzyński. O ludności polskiej w Prusach niegdyś książęcych, str. 226.

w zachodniej części dzisiejszej ziemi mazurskiej, t. j. powiatach: ostródzkim, dąbrowskim, niborskim i działdowskim. Stopniowo posunęła się kolonizacja na wschód do ziemi gołędzkiej, czyli powiatów: szczycieńskiego, jańsborskiego, czyli piskiego, łeckiego, leckiego, oleckowskiego, zążborskiego i węgoborskiego, w końcu 15-go zaczęła się polszczyć zaludniona przez Niemców Warmja i dzisiejsze Powiśle.

Przybywając do nowych siedlisk swoich, przynosili Mazurzy z rodzinnych pieleszy zwyczaje, sposób budowania chat, nazwę szczepową, wreszcie nomenklaturę dawnych siedzib swoich. Szlachta mazurska obowiązana była do odbywania służby wojskowej; pachołkowie krzyżaccy rekrutowali się z pośród ludności po polsku mówiącej.

Rycerze mazurscy i warmińscy należeli do Związku Jaszczurki, miasta pruskie zaś do Związku Miast, które spowodowały wybuch wojny trzynastoletniej, zakończonej oddzieleniem t.zw. Prus Królewskich i Warmji i przyłączeniem ich do Polski. Wtedy to, po pokoju Toruńskim w r. 1466 przydzielone zostało formalnie, okupowane przez Kazimierza Jagiellończyka województwo malborskie. Wielkim mistrzom krzyżackim pozostał niewielki szmat ziemi wzdłuż brzegu Bałtyku, z miastami Królewcem i Kłajpedą.

Pragnąc podnieść splendor upadającego państewka, poczęli Krzyżacy wybierać na wielkich mistrzów książąt z domów panujących. W ten sposób stanął na czele Zakonu ks. Albrecht z młodszej linji Hohenzollernów, siostrzeniec króla Zygmunta I.



ZAMEK W MALBORGU.

W czasie wojny, która wybuchła między Rzecząpospolitą a Zakonem, Zygmunt zdobył Prusy Wschodnie, zamiast jednak przyłączyć je do Polski, utworzył lenne księstewko i przyjął hołd od Albrechta.

Od tego jednak czasu następuje zalew Prus Wschodnich przez Polaków. Albrecht przyjąwszy protestantyzm, ogłasza sekularyzację ziem pruskich, wypędziwszy opornych Krzyżaków. Polacy obejmują urzędy

i stanowiska, pisarze polscy opracowują księgi religijne. Na apel księcia stają do kulturalno-oświatowej pracy: Jan Seklucjan, Stanisław Murzynowski, pierwszy twórca ortografji polskiej, Wojciech Nowomiejski; przebywają w Królewcu:Eustachy Trepka, Mikołaj Rej, który syna swego oddał na dwór książęcy, wreszcie sławny już wówczas kanonik warmiński — Mikołaj Kopernik.

Opieka religijna nad ludem popowierzona została pomezańskiemu biskupowi Speratusowi, który na miejsce niemieckich kaznodziejów sprowadzał polskich, jako to: Marcina Glossa z Krakowa, Maleckich, Boretiusa, Danowiusa, Gizewiusa, Gregorowiusa, Trentowiusa, Wannowiusa i innych, którzy zwyczajem ówczesnym polskie końcówki nazwisk zmieniali na łacińskie.

W Królewcu powstaje uniwersytet Albertyński, w którym język polski jest na równi z niemieckim i łaciną językiem wykładowym. Przy narodzinach tej uczelni biorą wybitny udział polscy uczeni.

Nazwiska Abrahama Kulwiecia i Stanisława Rafajłowicza figurują na czele listy profesorów. (Niemcy nazywają: Culva i Rapagelanus). Polacy tłumnie uczęszczają na wykłady, wszystkie wybitne rody polskie, magnackie i szlacheckie, mają tu swoich przedstawicieli.

W roku 1560 Zygmunt August nadaje uniwersytetowi królewskiemu prawo Akademji Jagiellońskiej. Wyszli stamtąd ludzie tej miary, co Jakób i Jan Niemojewscy, Piotr Kochanowski, tłumacz Tassa, uczony Erazm Gliczner Skrzetuski, Bieniasz Budny i inni *).

Ludność ziemi mazurskiej jest wyłącznie polska, osady mazurskie dotykają Królewca i Gąbina. Językiem w szkołach jest bądź język literacki, bądź narzecze mazurskie. Mazurzy stanowią pokaźną liczbę wśród słuchaczy uniwersytetu. I tak między rokiem 1610 a 1640 studjuje 469 Mazurów *). Niemców na Mazurach na palcach policzyć można, a nawet te kilka rodzin, które przejściowo siedzą tam, jak v. Eulenburgowie, von Medemowie i v. Birkhahnowie, (którzy mieli pochodzić z polskiego rodu, herbu Cietrzew) znają język polski, a synowie ich uczęszczają do polskich szkół.

W czasie wojny szwedzko-polskiej ziemia mazurska padła ofiarą wiarołomności księcia pruskiego i elektora brandenburskiego, który połączył się z Karolem Gustawem. Najemni Tatarzy Gąsiewskiego, wypędzający Szwedów z Polski, poczynili wielkie spustoszenia. Pokój Oliwski 1660 r. przyznał Prusom samodzielność. Długo jednak leczył kraj swe rany.

W r. 1701 elektor pruski Fryderyk Wilhelm I ozdobił czoło swe koroną królewską—przy poparciu króla polskiego Augusta II. Odtąd usiłowania rządu skierowane zostały w stronę odpolszczenia ziemi „pruskich". Następują jedne za drugiemi dekrety, ograniczające prawa Polaków. W r. 1717 wprowadzono nauczanie języka niemieckiego w szkołach, w 1724 wydano rozkaz, zabraniający używania Polaków i Litwinów narówni z Żydami do kolonizacji. (Litewskie osiedla znajdujemy od najdawniejszych czasów we wschodnich i północo-wschodnich powiatach, dokładnych jednak wiadomości o rozwoju kolonizacji nie posiadamy).

Mimo to jednak polskość kwitnie przez cały wiek 18-ty. W latach 1718-20 wychodzi w Królewcu jedyne pi-

*) Dr. St. Kot. (pseud. Student-ewangelik). Polska a Mazowsze ewangelickie, str. 27.

*) Dr. J. Brehm: Entwicklung der evang. Volksschulen in Mauren s. 36.

smo polskie, tygodnik—„Poczta Królewska“, w Niborku, w słynnej szkole polska młodzież całych Prus zjeżdżała się, aby uczyć się języka polskiego pod rektorami Czernickim i Krupińskim *) istnieje stare gimnazjum polskie w Ełku; słynny kaznodzieja Samuel Tschepius, superprezbiter w Dąbrównie (Działdowie i Niborku) opracowuje swoją „Agendę pruską“ oraz „Kancjonał pruski“, dziś jeszcze używany przez Mazurów podczas nabożeństwa. Cassius, kaznodzieja zboru reformowanego w Działdowie, wydaje popularną wówczas gramatykę polską, młody zaś Tschepius, Samuel Ernest, pisarz i uczony, „pomiędzy żyjącymi pierwszy“ swoim bezcennym księgozbiorem polskim w Królewcu wprowadza w zdumienie słynnego bibljofila warszawskiego Józefa Jędrzeja Załuskiego. W końcu 18-go wieku zaczyna swą działalność sławny Mrongowius, autor „Słownika Polskiego“ i „Postylli“**) (rozmyślań religijnych).

Upadek Polski żywem echem odbił się na Mazurach. Na całym obszarze ziem przyłączonych i mazurskich wprowadzono do urzędów język niemiecki, a po wojnach napoleońskich wywłaszczono obywateli Polaków, którzy zalegali w opłacie procentów od pożyczek państwowych. Padło wtedy między rokiem 1824-34 majątków polskich 230.

Dola Mazura ciężka była; powoli i z trudem odbudowano spalone wskutek działań wojennych domostwa, morowe powietrze, głód, nieurodzaje, wylewy stały się istną plagą. Mimo tych klęsk ekonomicznych, Mazurzy nie padają na duchu, bronią się nawet przed germanizacją. W połowie 19-go wieku widać nawet wyraźny ruch odrodzeńczy, na czele którego stoi kaznodzieja Gizewjusz z rodziny Giżyckich pochodzący, który założył w 1842 r. pismo „Przyjaciel ludu łecki“.

W ostatniej ćwierci XIX wieku pojawia się uczony, rodowity Mazur, wychowanek uniwersytetu królewickiego prof. Wojciech Kętrzyński, który w pracach swoich, opartych na niewyzyskanych źródłach, przedstawia polską przeszłość kraju swego.

Zaczynają jednak swoją gadzinową robotę zniemczali Mazurzy, jak to superintendent Gerss swym wydawanym corocznie kalendarzem, Dudek z Olsztynka gazetą „Przyjaciel ludu“, wreszcie „Pruski przyjaciel ludu“ redagowany przez Skowronka z Trelkowa. Jeszcze w początkach siódmego dziesiątka ubiegłego wieku kraj mazurski mimo nieuświadomienia narodowego zupełnie był polskim. Wypieranie polskości zaczęło się od północy, objęło także przyłączone po pierwszym rozbiorze polski 1772 r. Warmję i Powiśle. Dopiero jednak po usunięciu polskiego języka ze szkół, co ostatecznie nastąpiło 1873 roku, przy poparciu duchowieństwa protestanckiego, germanizacja czynić poczęła wielkie postępy. Zaznaczyć należy, że w r. 1817 Hohenzollerni dokonali unji wszystkich wyznań i sekt ewangelickich pod nazwą „kościoła pruskiego“.

Odtąd młodzież, która wyszła ze szkół niemieckich, wstydzi się swego pochodzenia i „prostaczych“ mazurskich rodziców. Napróżno walczy z przemocą pruską „Mazur“, świetnie redagowany przez Kazimierza Jaroszyka. Germanizacja przez szkoły i kościoły, oślepiający blask potęgi pruskiej oraz pięść pruska zdziałały, że mimo dobrych chęci uświadomionych Mazurów plebiscyt w r. 1920 wypadł na niekorzyść Polski.

(D. n.) *Emilja Sukertowa.*

*) Słownik geograficzny.

**) J. K. Sembrzycki. Krótki przegląd literatury ew.—pol. Mazurów i Ślązaków, str. 24 — 31.

Powoli obejmują nas senne marzenia, cicho robi się w przedziale i dla prostej harmonji tonów trzeba koniecznie przyćmić błyskotliwą lampę.

Zapada cisza głęboka.

II.

PODRÓŻ.

Nad ranem stanęłyśmy w grodzie Przemysława.

Śliczny jest Poznań, gdy odjeżdża się od niego w letni, jasny poranek. Wprawdzie promienie słońca ślizgają się po ścianach nowych, rozwidniają czyściutkie ulice, wprawdzie budynki, wsród których mknie pociąg obce nam architekturą, ale czuje się doskonale, że ta powłoka trzymała straż i dotrzymała. Bo oto ciężki Zamek Wilhelma, o który musi uderzyć oko przechodnia, dzisiaj nauce naszej służy, mieszcząc w sobie uniwersytet. Ale trzeba się spieszyć — jeszcze chwila tylko wolna — więc tylko czem prędzej na Stary Rynek biegnę, a uprzejma poznanianka — druhna nie pozwala nawet nasycić oka widokiem przecudnego ratusza poznańskiego.

— Druhno, spieszmy, — woła na mnie z pod strojnego w najcudniejsze szaty budynku rajców miejskich. Nie odczytawszy nawet dokładnie długiego napisu głoszącego, że w czasach Przemysława wzniesiono ten gmach, ruszamy z powrotem na stację.



Ogólny widok obozu w Foxlease.

zewnętrzna kryje w sobie tak bardzo naszą, tak mocno naszą treść.

Olbrzymia „wieża górnośląska“, wznosząca się niedaleko budynków stacyjnych, przenosi naszą myśl w tę dzielnicę, jeszcze starszą, niż Poznań—bo tak długo zapomnianą i każe domyślać się tej siły, którą lud śląski okazał w dobie plebiscytowych, krwawych, powstańczych zmagań.

Niema czasu na dokładne zwiedzenie Poznania. Zdala tylko majaczą przed nami wieżyce katedry, która nam wartą przez tyle wieków

— Pędem pędem.

— Raz, dwa, raz, dwa, — pada komenda. Nie czuję zmęczenia, choć duszą całą jestem jeszcze pod wieżą ratuszową ze złoconym zegarem, pełną promieni — nie wiem już sama, czy od blasków porannego słońca, czy ręką mistrza naznaczonych.

Wpadamy na stację w ostatniej zaiste chwili. Zajmujemy miejsca w pociągu zdążającym przez Zbąszyn do Berlina. Ogarnia mnie gwar młodych, radosnych głosów. Jesteśmy już wszystkie cała szesnastka

z najrozmaitszych okolic Polski. Każda z nas wypowiada swoje wrażenia, tylko Wielkopolanki, a mamy je cztery wśród siebie, milczą, słuchają. Jedziemy przez ich dzielnicę— więc czasem tylko rzucą słowo objaśnienia, ale nie wypowiadają swoich wrażeń. Za to każda z nas porównuje swoją dzielnicę z temi rozległemi, równemi polami, przez które przesuwa się szybko pociąg.

Sypią się uwagi, wykrzykniki, słowa zachwytu nad czystością i porządkiem, jaki śledzimy z okien wagonu.

Jedyna przedstawicielka Wilna tęskni za pagórkami swego miasta, a wtórują jej dwie druhny z Zakopanego, które naprożno szukają na horyzoncie choćby wspomnienia tatrzańskich gór.

I krakowianka również wolałaby przestrzeń, porwaną łańcuchami górskiemi, niż te spokojne pola wielkopolskie, jeszcze falujące łanami zbóż, to znowu gdzieindziej świecące złotą łysiną rżysk i, ożywione stadami bydła, ścierniska.

Jedyna lwowianka usiadła w kącie z druchną z Rzeszowa i wertuje zawzięcie przewodnik po Anglji, zwracając się czasami do druhny Małkowskiej o wyjaśnienia.

— A możebyście zjadły co — proponuje jedna z sześciu Warszawianek po kilku godzinach podróży.

Projekt pochodził od „szarży“ — a chociaż nie był wypowiedziany w formie nakazu, wkrótce został z wielkim zapałem wprowadzony w życie. Nie wiem, czy to ze względu na stanowisko organizacyjne wnioskodawczyni, czy dlatego, że dziwnie jakoś chce się jeść w czasie podróży.

Bułki z wędliną, czekolada, cukierki, Bedeckera popisywanie się umiejętnościami angielskiemi — oto było menu śniadania w wagonie.

A potem śpiew. Wcale piękny złożył się chór z naszej szesnastki. Być może jaki skrupulatny muzyk znalazłby jakie zarzuty — ale nam, pełnym radości i promiennych myśli, wydała się piosnka nasza u granic państwa niemieckiego czemś naprawdę pięknem i uroczem.

Jeżeli wzorem beztroskiego nucenia są skowronki—to myśmy były takiemi skowronkami, które w blaskach słońca wielbiły radość życia i wielkość Boga i potęgę narodu i wszystko to, co dobre, co wzniosłe, co wielkie.

— Zbąszyn.

Przerwano nam śpiewy. Trzeba wysiąść, bo tu znowu wsiądziemy do innego pociągu po odbyciu rewizji celnej.

Gorączkowy ruch, pośpiech, zimne miny urzędników celnych — wszystko to nie zdołało ochłodzić naszego rozradowania.

W tym samym nastroju wsiadamy do pociągu, który nas powiózł dalej, w obce już zupełnie strony wroga.

Przycichłyśmy tutaj wobec świadomości że otaczają nas w najlepszym razie nieuprzejmi gospodarze.

Dziwny był kontrast naszego nastroju tam, u siebie, a tu—u obcych.

Stanęłam przy oknie, skończywszy długą, może nazbyt długą lekcję języka angielskiego.

Naprzód pola — takie same polskie bezkrasne, jak w Wielkopolsce, potem chaty murowanych, porządnych wsi, wreszcie wielkie lasy, przerywane czasem rozłogami wsi, to znowu lśniącą powierzchnią stanów i znowu lasy. Ale wszystkie one smutne, przykre wywoływały we mnie wrażenia.

Już w Poznańskiem widziałam gdzieniegdzie nagie konary drzew bez jednej igiełki, bez jednego liścia. Ale tu całe, rozległe obszary poniszczone przez straszne mniszki, która odbiera drzewu jego najpiękniejszą, zieloną szatę. Straszny ten owad rzucił się tutaj na zniszczenie ogromnych obszarów leśnych, a stąd

widocznie małemi gromadkami przedostał się do Wielkopolski.

Ogromnie przygnębia widok takiego zniszczonego życia. Nad ziemią wznoszą się setki i tysiące ogołocone już, jakby nagich ramion wyciągających się z rozpaczą ku niebu, jak kominy chat popalonych, jak krokwie zwęglonych dachów.

Smutno mi było.

I może dlatego brzydkim wydał mi się Berlin, do którego zajechałyśmy koło godziny 6-tej wieczorem.

Dwóch dziennikarzy Polaków zaofiarowało nam swe usługi, a ponieważ miałyśmy kilka godzin do odejścia pociągu, poszłyśmy oglądać dzielnicę, gdzie zbudowano reprezentacyjne gmachy.

Już z daleka robią one wrażenie jakiegoś kolosu bezkształtnego, zaklętego olbrzyma, którego strzegą liczne po drodze rozsiane posągi brodatych, przytłuczonych pikelhaubami Fryderyków i Wilhelmów. Pomniki ich nie mają w sobie nic piękna, nie wywołują żadnych dodatniah wrażeń estetycznych.

A same gmachy jedynie ogromem swoim mogą inponować.

Zdawało mi się, że i tutaj jakiś owad do mniszki podobny pozbawił je tego wszystkiego, co tchnie jakiemś życiem, jakąś myślą piękną i przez to budzącą radość i zadowolenie. Pozostały tylko kontury, tylko konary wielkie coprawda, potężne, ale głuche, milczące, ponure.

Ruch na tych ulicach niewielki. Sklepów niema tu żadnych, a uwagę naszą zwróciły na siebie jedynie kobiety, często jadące na rowerach—ale jak brzydkie, jak strasznie brzydkie. Na sam czubek głowy nasadziły straszydła jakieś, nie kapelusze, a wdzięk kobiecy, ach jak bardzo obcym ich strojom, ich całej postawie.

Jak zupełnie różne władały mną uczucia przy wyjeździe z Poznania, a stąd. Nic—nic nie pociągało mnie do Berlina.



Przy kuchni.

Późną nocą porwał nas pociąg, aby nieść naszą gromadkę ku Holandji, skąd miałyśmy wyruszyć do Anglji.

Nie wiem, czy z nadmiaru przykrych wrażeń, czy ukołysana przez pociąg zasnęłam zaraz po wyjeździe z Berlina. Tosamo, zdaje się, uczyniły wszystkie druhny. Spałyśmy snem sprawiedliwych, aż do 6-tej rano, kiedy dla zwykłych formalności celno-paszportowych trzeba było otrząsnąc się z władzy Morfeusza w małem miasteczku Bentheim, na

granicy niemiecko-holenderskiej.

Podróż przez Holandję nie trwa długo.

Niósł nas pociąg przez równinę, może trochę monotonną, ale jakoś dziwnie pogodną, cichą. Czasem tylko zamajaczały skrzydła wysokich wiatraków holenderskich, to znowu rozlało się przed nami morze zieleni na bujnych łąkach, gdzie całemi stadami pasły się tak, jak u nas, sławne krowy „holenderki“, jak owe łąki bujne, wspaniałe. To znowu wyrosło przed oczyma miasteczko schludne, miarowo podzielone czystemi, prościutkiemi ulicami, przy których bieliły się skromne domki, otoczone gajami krzewów różanych. Czasami uśmiechnęła się do nas dobroduszna twarz Holendra, z reguły trzymającego w ustach fajkę, albo przemknął skrzydlaty czepek kobiety.

Popołudniu byłyśmy już w porcie Flushing, skąd na holenderskim statku wypłynęłyśmy tego samego dnia na pełne morze.

III
MORZE.

Nareszcie.

Jeszcze jeden przeciągły gwizd— nagle wstrząśnie zgrzyt śruby okrętowej i powoli majestatycznie porusza się statek, odbijając się wielkiemi krokami od brzegu.

Stałam pośród całej naszej gromadki, patrząc w toń wód. I zrozumiałam w tedy, jak prawdziwe jest wyrażenie: statek pruje wodę. Naprawdę, gdy człowiek zapatrzy się w powierzchnię fal, na których kładą się promienie słońca, może się przestwór wód wydać ogromną płachtą płótna, które, jakby wielkiemi nożycami, przecina łatwo i śmiało dziób okrętu.

Może tylko płótno rozcinane bardziej krzyczy — wody milczą i spokojnie odchodzą w dal, tylko skraj rozcięcia lekko wznosi się, zupełnie jak przy płótnie.

Oderwałem oczy od morza — spojrzałem w stronę Flushing.

Już nie było miasta. Zniknęło już, jedynie z dala widoczna była ciemna linja, nierówna, pokrzywiona—to brzegi.

Spojrzałam w drugą stronę. Prócz lazuru wód i kilku łodzi, zapewne rybackich, nie było widać żadnego lądu, żadnej ziemi. Nawet tej ciemnej linji, bramującej wodny szlak nie widać tutaj. Nie widać jej po lewej ani po prawej ręce — jeszcze raz oglądam się wstecz, ku Holandji — już wszystko zniknęło. Wokół mnie wody i wody, jeden olbrzymi bezmiar wód.

Zaczęłam wpatrywać się w fale. Biegną cicho, powoli, leniwie, a tam dalej już nawet nie biegną — stają spokojnie, leżą bez ruchu, jakby bez życia zupełnie. Bliżej okrętu wzdymają się nieco, nawet tuż przy ścianach pokaże się niekiedy biała piana — to widać gniewa się morze z powodu burzenia jego spokoju. Ale już kilka metrów dalej leży spokojnie, wpatrzone w oko słońca, które obija się w jego lazurowych toniach i mieni tysiącem jasnych, jaśniejszych, oślepiających barw. A tam dalej, dalej ciemnieją barwy i przechodzą w szarą, olbrzymią masę, która w siebie zaklęła dziwny, usypiający spokój.

I wszędzie morze, morze, morze.

Jakim małym czuje się wówczas człowiek. Taką drobniutką istotą, tak mimowoli powtarza z księdzem Piotrem: Panie, jestem prochem i niczem.

Sama nie wiem kiedy usiadłam na ławce pokładu. Przytłoczyła mię świadomość tego bezkresnego ogromu wód. Czułam fizyczny ból w karku, jakbym dźwigała na sobie tę masę morza. A potem rozlewać się we mnie poczęła ta cisza, którą tchnęło morze, a oczy utkwione w fale na chwilę nie mogły się od nich oderwać.

PRZY OGNISKU.

Czerwony blask ogniska już pląsa po lesie;
Z otwartej kadzielnicy dym w konary leci
I w gęstym swym warkoczu skry błyszczące niesie.
Mrok tak gęsty, a ogień taki jasny świeci;
Tak cudnie, jako słońca, głownie rozgorzały,
I płonie moja młoda twarz rozpromieniona,
A na niej każdy płomyk niebieski i biały
Czuję, gdy przeskakuje i zagląda w oczy,
Wlewając przez nie krzepkość radosną do duszy.
Lecz skry... jak ślicznie świecą, jaki trzask ochoczy
Wydaje iskra, gdy się od głowni odkruszy.
Patrz, patrz do góry: jak cudnie się chwieje
Korowód gwiazd gasnącyçh, jak światy cudacze...
Spójrz! smutnyś, łzy masz w oczach, co się z tobą dzieje?
Widziałem! — ty się cieszysz, a ja dziwak płaczę
I wstyd mi, ale płaczę, bo łzy same płyną.
Może pojmiesz; patrz w ogień: wspólnym żarem płonie;
A teraz spójrz na tamtą iskierkę jedyną.
Ona z ogniska niesie żar radosny w łonie.
Widzisz? Wiatr ją podnosi wolniutko do góry,
Spuszcza chwiejnie i gasi w wieczornej pomroce...
To nic, zgasił! My także wylecim pod chmury,
Ale teraz się cieszmy; niech serce łomoce,
Ogrzane przy ognisku harcerskim do biała.
Pieśni! Piosenkę harcerską śpiewaj, co jednoczy.
Pieśni coby nas, iskry, w ciemności rozgrzała!
Chcemy, żeby zapałem świeciły nam oczy...
Hej! Leć harcerska piosenko, jak iskry w ciemności!
Leć i zawołaj głośno: „Chodźcie, kto zazdrości!
Kto stojąc zdala nie śmie podejść do ogniska!
Ten ogień dla braterstwa i miłości płonie...!"
A ogień już przygasał... ale skry wciąż ciska,
A każda skra ulata i w ciemności tonie.

Zyg — Zach.
„Trzynastak" z Warszawy.

DZIECINNA GODZINA.

„Obóz harcerski jest-to przeniesienie chłopca w najidealniejsze warunki, w których on może czynić dobrze".

Baden Powell.

Dwa lata temu, na Zjeździe Walnym w Poznaniu rozmawiałam z Dhem Przewodniczącym Związku o pracy społecznej na obozach harcerskich. Kiedy mu powiedziałam, jak ja ją sobie wyobrążam, Dh. Przewodniczący zapytał mię znienacka: „Wszystko to pięknie, ale **kim** Druhna to zrobi"?

Głęboko w duszę zapadło mi to pytanie. Odpowiedzi na nie szukałam długo i wytrwale, a szukanie było tem bardziej dręczące, że życie mi jej w ciągu tych dwu lat nie dało.

I ciągle sobie myślałam, skąd tu wytrzasnąć owego „dobroroba" w obozie harcerskim, który jest przeniesieniem chłopca w najidealniejsze warunki, w których **on** może czynić dobrze.

Raptem olśniła mię myśl z tego określenia wypływająca.

On! jaki on? co za on? Przecież to znaczy każdy chłopiec lub dziewczynka, którzy są w obozie. Jest ich w obozie 30, to znaczy 30-u chłopców lub dziewcząt może czynić dobrze; jest w Polsce przynajmniej 100 obozów to znaczy 3000 ludzi wolnych od innych obowiązków, swobodnych, jak ptaki, z piosnką na ustach, z radością w sercu idzie czynić dobrze.

„Radosny staje hufiec nasz
Duch będzie mu hetmanił".

Jest więc rozwiązanie „kim"? chodzi więc tylko o to, aby naprawdę zaczęli czynić wszyscy, aby to robili stale, przez całe lato i aby to było „na wesoło".

Jeżeli będą robić wszyscy—to tej roboty będzie dużo, jeśli będą robili całe lato, to powstanie po tej pracy jakiś ślad, jakaś trwałość. A jeśli to będzie na wesoło, to wyjdzie z tego duża radość nietylko w drużynie, ale i poza nią.

Nieharcerzowi wydaje się, że wyjechać na obóz — to można zrobić tak—raz, dwa, trzy: wziąć plecak, kij, manierkę, koc i ruszyć w pole; a dobry harcerz wie doskonale, że z obozu wyniknie dla drużyny prawdziwa korzyść dopiero wówczas, gdy się go gruntownie od jesieni bodaj zacznie przygotowywać (tak twierdzi Mahomet) i we wszystkich szczegółach obmyśli.

Nie wiem, czy drużyny istotnie tak czynią, ale ponieważ zgadzam się i z Mahometem i z Baden Powellem, więc na ten szczegół: „może czynić dobrze", nieco przez drużyny zaniedbany, chcę zwrócić uwagę i rzucam pytanie: Jak się to obmyśla, jak się drużyna do tego przygotowuje?

A harcerze odpowiadają: „Tego obmyśleć nie można, to samo z siebie przyjdzie".

Przyjdzie, albo nie przyjdzie—różnie to bywa, jak z każdą sprawą, o której się nie myśli.

Ale jedna rzecz mię w tem rozumowaniu zastanawia.

To niewspółmierność ważności przygotowań: Na lichtarz, czy ławkę w obozie, żeby było wygodnie, żeby wytworzyć pewien sybarytyzm obozowy — jest konkurs. Nieharcerzowi do głowy by to nie przyszło, a przemyślna brać harcerska o tem pomyślała.

Nieharcerzowi wydaje się, że obóz to improwizacja, a okazuje się, że to bardzo porządnie i gruntowie obmyślana praca, z dniem w kratki i każdą rzeczą na swojem miejscu. I wychodzi taka dziwna kombinacja, że jak się ten dzień pokratkuje i każdą rzecz obmyślaną według planu na swojem miejscu postawi, to na tą nieobmyślaną

miejsca w kratkach i czasu w dniu nie wystarczy. I okazuje się, że nikt nie jest temu winien, że w bilansie obozu jest na odczepne jakaś kładka, czy mostek naprawiony, a o czynieniu dobrze w obozach tak jakoś dziwnie głucho i w Harcerstwie i w Polsce. A zresztą może się w tajemnicy o tem myśli, tylko nikt o tem nie wie. Ale ponieważ i ja o tem dużo myślę i tajemnicy z tego wcale robić nie chcę, więc rzucam projekt: Mamy jeszcze (niewiele wprawdzie ale) trochę czasu, jak obmyśleć ruszenie ławą na dobry uczynek w obozach, mamy „Harcerza" który nam z pewnością swoje łamy na nasze projekty otworzy, zbieram się więc na odwagę (najtrudniej zdobyć się na odwagę pierwszego kroku), może znajdę naśladowców. Rzucam projekt „dziecinnej godziny" w obozie.

Dzień w obozie jest w kratki. Otóż niech przybędzie jeszcze jedna kratka. Jak się ją zrobi — czy tak jak Pan Bóg kiedyś szczygła zrobił, z każdej kratki urwie się potroszeczkę, aż nowa kratka powstanie, czy się na nową kratkę siebie i swego czasu troszkę ofiaruje — to rzecz obojętna. Chodzi o to, żeby z 24-ech godzin dla siebie w obozie, przeznaczyć jedną dla okolicznej dziatwy. Dzieci są najbliższe przyrody, z którą żyć wyruszyli harcerze do lasu i najbliższe harcerzy zamkniętych w obozie.

Chłopak z chłopakiem, dziewczynka z dziewczynką najłatwiej się porozumieją — mogą to więc robić wszyscy.

Chodzi wreszcie o to, że tajemnica, otaczająca obóz, i jego misterja nikogo tak nie nęcą, jak dzieci, i dlatego będzie to robota „na wesoło", a przecież o to tak bardzo chodzi.

Trudno zgóry określić, co się w tej godzinie będzie robiło: będzie to wywiad, zbliżenie się do dzieci, zarzucenie sieci, aby je do obozu ściągnąć, zajrzenie do wnętrza chat, gdzie one żyją, przyjrzenie się ich nieraz ciężkim i odpowiedzialnym obowiązkom, wejrzenie w te przeraźliwie antihigjeniczne warunki niemowląt, zeskrobanie brudu, wyczesanie robactwa, zajrzenie w opłotki opustoszałej wsi, która wyruszyła na żniwa, a po chatach zostały najmłodsze dzieci, te, które jeszcze gęsi paść nie umieją. To wreszcie zaproszenie do obozu do ogniska, na mustrę, do której wiejskim chłopakom, tak samo jak wszystkim chłopcom na świecie oczy się swiecą, na grę, na śpiewy i zabawy, to wreszcie wzięcie przez każdego harcerza lub harcerkę, w czasie trwania obozu, jednego dziecka pod swoją wyłączną opiekę.

Przejeżdżałam kiedyś przez wieś w skwarne południe. Wieś była, jak wymarła, starsi poszli w pole, dzieci starsze ruszyły z bydłem, psy warowały przy chatach.

Koło przetaru przy bramie stało czworo dzieci. Najstarsze mogło mieć najwyżej cztery lata. Najmłodsze, może półtoraroczne, wrzeszczało w niebogłosy, trzymając się kurczowo bramy, reszta niewzruszenie sypała sobie piasek na głowy. Zaniepokoił mię ton wrzasku dzieciaka, wysiadłam więc, żeby zobaczyć, co się stało. Okazało się, że dzieciak uwiązł w bramie i stałby tak do wieczora, bo jego wielcy towarzysze nie potrafiliby go z niej uwolnić.

Ileż to druhenek rozkłada swe obozy pod takiemi wsiami, które są, jak wymarłe, w skwarne południe, gdzie tylko malutkie dzieci pozostają pod opieką wiernego Kruczka, czy Zagraja, i niejedno z nich zginęłoby marnie, gdyby nad niemi Opatrzność nie czuwała.

A harcerki opodal zmieniają warty i, zapatrzone w noc gwiaździstą, rzucają hasło: „C z u w a j"

Druhna Czajkowska.

RÓŻNOŚCI.

GWIAZDY TEŻ MUSZĄ PRACOWAĆ.

Oddawna już zegarki wszystkich astronomów były regulowane podług gwiazd w ten sposób, że notowano tę chwilę, w której pewna gwiazda przechodziła przez południk danej miejscowości. Jednak obserwacja ta jest żmudna i daje wyniki mało dokładne. Pomijając różne ulepszenia, poczynione w tej dziedzinie, zanotujemy najnowszy pomysł wyróżniający się swą śmiałością.

Przypuśćmy, że mamy lunetę, zaopatrzoną w bardzo mały otworek i ustawioną dokładnie w płaszczyźnie południka, na którym się znajdujemy. W chwili, gdy wskutek obrotu ziemi, w polu widzenia lunety zjawi się jakaś gwiazda, promień świetlny wysłany przez nią i skupiony przez soczewki lunety upadnie na płytę selenową. Selen zaś pod wpływem światła zmieni swoje własności elektryczne, co przy pomocy odpowiednich przyrządów powoduje nadanie sygnału radjotelegraficznego. Nastąpi pewien dźwięk, który może usłyszeć każdy, kto ma aparat odbiorczy i uszy ku temu. Nasza gwiazda anonsuje całej kuli ziemskiej swoje przybycie.

Tego rodzaju, aparatura ma być ustawiona wkrótce na wieży Eiffla w Paryżu. Winna ona nadawać sygnał ze ścisłością do jednej milionowej części sekundy, podczas gdy przy dawnej metodzie błąd obserwatora dochodził do $^1/_6$ — $^1/_7$ sekundy.

Cz. R.

DLACZEGO W WYŚCIGU NALEŻY BIEC W KIERUNKU WSCHODNIM.

Ważymy mniej, gdy patrzymy na wschód, niż gdy zwracamy się na zachód. Możemy biec szybciej w kierunku wschodnim, jak zachodnim.

Taką teorję głosi profesor Duffield w Reading (Anglja), który odbywał specjalne studja nad siłą powszechnego ciążenia i robił doświadczenia na swym parowcu, na Oceanie Atlantyckim. Twierdzi on, że statek o pojemności 2,000 tonn jest o 448 ft. ang. lżejszy, gdy odbywa podróż na wschód, niż gdy dąży na zachód, czyli że okręt o pojemności 5,000 tonn waży w przybliżeniu o 5 tonn mniej dążąc do Anglji z New-Yorku, niż w podróży z Southampton do Ameryki.

Jak tłumaczyć ten niebywały fakt?

Wiadomo, że ziemia obraca się wkoło swej osi w kierunku wschodnim i że jedynie dzięki sile przyciągania nie jesteśmy przy szybkim obrocie wyrzuceni w przestrzeń, podobnie, jak ziarnka ryżu, rozsypane na obracającej się płycie gramofonowej, są w prostym kierunku wyrzucane przez siłę odśrodkową.

Na nasze szczęście siła przyciągania ziemi jest znacznie większa od siły odśrodkowej, dzięki czemu pozostajemy na powierzchni obracającego się globu i nie odczuwamy jego ruchu. Jasnem jest jednak, iż gdy idziemy, biegniemy lub płyniemy w tym samym kierunku, w którym siła odśrodkowa stara się nas pchnąć, ta ostatnia pomaga nam do posuwania się naprzód. W bardzo słabym stopniu jesteśmy w stanie przezwyciężać siłę przyciągania, zaś dążąc na zachód dopomagamy działaniu siły przyciągania.

Wagą naszą jest poprostu siła, z jaką przyciągani jesteśmy przez ziemię i dlatego, gdy dążąc w kierunku wschodnim, do pewnego stopnia przezwyciężamy siłę przyciągania, ważymy mniej, niż gdy kierujemy się na zachód. Dlatego też powiada profesor

Duffield, jeżeli chodzi o pobicie rekordu w wyścigu na przestrzeni jednej mili ang:. biegnij w kierunku wschodnim, będziesz lżejszym.

Doświadczenia uczonego profesora, były w rzeczywistości prowadzone w związku ze staraniami ustalenia, w jaki sposób powstały góry. Czy uformowane są z tego samego materjału, co i doliny, w sposób naturalny, podobnie, jak okopy i nasypy, czy też góry były wyrzucane nad powierzchnię z powodu ich formacji, lżejszej i mniej ścisłej od otoczenia podobnie, jak lodowce pływają po morzu dzięki temu, że są znacznie lżejsze od wody? Jeżeli pierwsza teorja jest słuszna, przedmiot zważony na wierzchołku góry powinien ważyć więcej, niż w głębi doliny. A to z tego powodu, że większa ilość materji znajduje się między tym przedmiotem na wierzchołku góry, a środkiem ziemi, niż między tym, a głębią doliny; siła przyciągania w górze byłaby większą.

Jeżeli zaś druga teorja jest słuszna, siła przyciągania ziemi nie byłaby ta sama: góry byłyby poprostu tylko więcej wydęte, niż doliny. Doświadczenia nie zostały jeszcze ukończone, to też profesor Duffield nie jest w możności dać zdecydowanej odpowiedzi. Pracuje on obecnie na okręcie swym na Atlantyku, ponieważ do doświadczeń grawitacyjnych woda bardziej nadaje się, niż stały ląd, bowiem na wodzie niema przeciwnych wpływów mogących skazić rezultaty.

Powyższą hipotezę trudno przyjąć bez poważnych zastrzeżeń. Autor jej, twierdząc, iż im wyżej się znajdujemy, tym jesteśmy cięższi, nie uwzględnia prawa głoszącego, iż przyciąganie ziemi (jak każdej wogóle masy) znajduje się w odwrotnie proporcjonalnym stosunku do kwadratu odległości (t. zw. przy dwukrotnem zwiększeniu się odległości, siła przyciągania zmaleje czterokrotnie; przy czterokrotnym — szesnastokrotnie i t. d.). Następnie rozwijając konsekwentnie twierdzenie owego uczonego, że góry powstały wskutek działania siły odśrodkowej, powstającej przy obrocie wirującym ziem, dojdziemy do wniosku, że góry powstawać winny byłyby głównie w miejscach najsilniejszego działania tej siły, a zatem w pasie równikowym: temu zaś przeczy fakt, że najwyżej wzniesionym lądem jest Antarktyda (znajdująca się na biegunie południowym).

Przyp. Red.

GÓRA ŚWIECĄCA W NOCY.

W głębi Oceanu Spokojnego, na archipelagu Bismarka znajduje się góra, której wierzchołek i zbocza świecą się dziwnym blaskiem, a marynarze tamtejsi utrzymują, że, kto zbyt blisko podejdzie do niej, cierpi na dotkliwe wyrzuty skórne. Jasność ta widoczna jest na odległość kilku mil ang. i z pewnością nie pochodzi z natury wulkanicznej. Uczeni doszli do wniosku, że to dziwne światło pochodzi od „radjum", lub też z minerału zawierającego „sód".

Mają być w krótkim czasie zorganizowane przez Rząd Australijski specjalne wyprawy dla zbadania tego ciekawego zjawiska.

JAK PODKLEJAĆ MAPĘ.

Mapy niszczą się bardzo prędko, dlatego harcerz zawsze mapę swoją podkleja. Nadaje się do tego najlepiej materjał z pokrzywy (nesel). Brzeg mapy obcina się, podziałkę po podklejeniu z powrotem przykleja na stronie odwrotnej mapy. Następnie rozpina się na podłodze kawałek materjału, większy od mapy o tyle, aby brzegi jego wystawały mniejwięcej na 5 cm. z każdej strony. Jeżeli mapa jest nowa, rozcina się ją ostrym scyzorykiem, według linji na prostokąty takiej wielkości, aby się mieściła w kieszeni, jeżeli mapa już używana i składana — rozcina się ją według zagięć.

Poszczególne prostokąty nakleja się czysto na materjał, pozostawiając

między niemi 2 mm odstępy, a zaczynając od prostokąta leżącego w samym środku. Dobrze jest na materjale wyrysować sobie środkowy poziomy i środkowy pionowy pas szerokości prostokąta, aby równo odpowiednie prostokąty wkleić. Ważną jest rzeczą, aby tak długo smarować papier klejem, aż już się nie marszczy.

Po 12 godzinach mapa jest sucha, brzeg materji obcina się, mapę składa i daje na pewien czas pod prasę n. p. z książek.

ODKRYCIE ARCHEOLOGICZNE.

W województwie kieleckiem odkryto niedawno nową grotą, w której wnętrzu znaleziono kości prawdopodobnie niedźwiedzia i szereg przedmiotów, sięgających bardzo dawnej epoki świata. Nasze ryciny przedstawiają wejście do groty i grupę ludności przy niej z miejscowymi harcerzami. Bardzo celową byłoby rzeczą, aby fachowi archeologowie zaciekawili się tem odkryciem, gdyż grota, narazie zapezpieczona, może zawierać więcej ciekawego dla nauki materjału. Jak wiadomo województwo kieleckie obfituje w tego rodzaju przedhistoryczne zabytki, więc i grota w Trzebniowie koło Suchednicwa, dotąd niezbadana, może dać ciekawe odkrycia.





ZE SPORTU.

Nurmi jest fanatykiem sportu i nic nie zdoła go odwlec od troski bezustannej o formę. Jest mizantropem; na Igrzyskach Olimpijskich stronił nawet od swoich rodaków. Po powrocie jednak do kraju musiał, nolens volens, przyjąć udział aż w 42 bankietach urządzonych ku uczczeniu triumfów, które Finlandia jemu przedewszystkiem zawdzięczała. Zamknięty w sobie, małomówny, niezadowolony Nurmi przesiadywał na nich ze stoicyzmem, lecz myślał tylko.. o formie. I, gdy biesiadnicy się rozchodzili, zanim powrócił do domu, przebiegł za każdym razem kilka kilometrów.

Raz nawet po uczcie wyprawionej w odległości 10 km. od Helsinforsu, powrócił do miasta nie pociągiem, jak wszyscy, a pieszo, i to w takim tempie, że położył się spać nie wiele później od innych.

(Stadjon)

CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.?

Ś. P.

Aleksander Zagórski

Harcerz drużyny wileńskiej zginął tragiczną śmiercią w dnia 4 maja b. r.

Nie było jeszcze czasu, aby potężny duch kultury polskiej zapanował na całych Kresach i nad całą młodzieżą.

W tego ducha obronie padł Druh Zagórski, stwierdzając, że harcerz zawsze pozostaje wiernym idei.

DO DRUHNY DRUŻYNOWEJ!

Kochane Druhny!

Zbliża się termin zakończenia Loterji Harcerskiej. Do dn. 5 czerwca muszą być sprzedane wszystkie losy.

Wiem, że dużo losów nie sprzedano jeszcze, ale wiem też, że — jeśli dołożycie starań — to z pogodnym i szerokim rozmachem potraficie odrobić zaniedbania minionych tygodni.

Harcerka winna wejść z losem do każdego znajomego domu, do każdej instytucji: biur, szkół, i znajomych sklepów, i zewnątrz wychodzić bez paczek z mydłami, lecz z całą masą pieniędzy.

Niech żadna z nas nie mówi, że nie umie lub nie lubi prosić o kupienie losów, przeciwnie: do sprzedania ostatniego losu lubimy tę czynność tak bardzo, że nigdy mimo niechęci naszych odbiorców — nie stracimy pogodnego uśmiechu, ani dobrego słowa, ani zapału do dalszej akcji.

Niech żadna nie zraża się tem, iż nie zawsze znajomi zechcą kupić losy, lub — że okażą niezadowolenie, czy zrobią Wam przykrość... Łatwo się weselić, gdy nam wszystko sprzyja, lecz trzeba być pogodnym — nawet teraz.

Dalej więc, Zuchu Błękitny i Zielony! I ty, Harcerko—młodsza czy starsza — z energją kończcie pracę loteryjną.

Tylko dzielne, pogodne i wytrwałe Harcerki potrafią zbudować swój dom. Więc podwójcie energję, pomnóżcie zapał, uśmiechnijcie się i — niech wam szczęście sprzyja!

C z u w a j!

Marja Uklejska.
Naczelniczka G. K. Ż.

Warszawa, dnia 12 maja 1925 r.

CZY WSZĘDZIE ZROBIONO TOSAMO?

Władze szeregu chorągwi przystąpiły energicznie do zrealizowania zamierzeń komisji loterji. Dla przykładu podajemy rozkaz żeńskiej chorągwi łódzkiej, jest on identyczny rozkazem Komendanta męskiej chorągwi:

Druhny! zaledwie kilka tygodni dzieli nas od zakończenia akcji loteryjnej na budowę Stanicy Harcerskiej, a dotąd zrobione jest niesłychanie mało: sprzedano bowiem zaledwie 25 procent przypadającego na nas minimum. Wykazaliśmy w ten sposób z jednej strony całkowite niezrozumienie tej niesłychanie ciężkiej sytuacji, w jakiej znalazłby się Związek na wypadek niepowodzenia loterji,—z drugiej zaś wielką niezaradność i niedołęstwo. Musimy więc obecnie nad-

zwyczajnym wysiłkiem pchnąć akcję loteryjną na właściwe tory i wyjść daleko poza skromne minimum.

I dlatego zarządzam, co następuje: **Okres od 1 do 15 maja wszystkie drużyny i zastępy przeznaczą wyłącznie na sprzedaż losów, zawieszając całkowicie na ten czas wszelką inną pracę.** W ciągu tych 15 dni harcerki muszą dotrzeć do każdego domu, każdej szkoły, każdej instytucji, każdego przedsiębiorstwa, a nie zrażając się drobnemi niepowodzeniami, z zapałem i humorem rozsprzedać losy. Niech każda z harcerek codziennie włoży w tę akcję maksimum energji, maksimum inicjatywy, niech wciągnie do pomocy całe otoczenie swoje. — Co do sposobów rozsprzedaży — pozostawiam to waszej pomysłowości. Na jedno tylko zwrócę uwagę: obejmijcie tą akcją nietylko swoje środowisko, ale i okolicę bliższą i dalszą.

Druhny! Dajmyż świadectwo pracą tych 15 dni, że jesteśmy dzielną i sprężystą gromadą, zdolną do zrealizowania zamierzeń i godną zaufania.

Rozkaz odczytać przed frontem drużyn, wywiesić w izbach i natychmiast przystąpić do wykonania.

Czuwaj!

Wł. Nakielska, Kom. chor.

WARSZAWA.

Znów nadsyłamy wiadomości do kroniki. Marzec przeszedł pod hasłem III Prawa Harcerskiego. Nadto likwidowaliśmy w tym miesiącu Loterję Związkową w drużynie, zbieraliśmy pocztówki do wymiany międzynarodowej w dniu św. Jerzego, wysłaliśmy 15 odpowiedzi na ankietę Druha Sedlaczka, przeprowadziliśmy badanie polskości sklepów na jednej z najruchliwszych ulic; na nabożeństwie i wieczornicy, urządzonej z powodu Zjazdu Oddz. Warsz. śpiewał chór drużyny; 2-ch Druhów deklamowało. Przed paru dniami otrzymaliśmy podziękowanie od Naczelnictwa Z. H. P. za energiczne i sprężyste zorganizowanie zbiórki drużyny w dn. 1 lutego r. b. na uroczystość dekoracji harcerskiemi odznakami honorowemi. Wśród odznaczonych w tym dniu był Druh Kazimierz Kulwieć, dyrektor gimnazjum, przy którem istnieje nasza drużyna. Otrzymał on odznakę „Wdzięczność Z. H. P." za szczególnie troskliwą opiekę nad drużynami na obczyźnie (w Moskwie), a obecnie u nas w Warszawie. 19 marca drużyna złożyła życzenia Druhowi Generałowi Józefowi Hallerowi, z racji Jego imienin; jak dowiadujemy się, to samo uczyniły potem: 20 i 4 Warsz. Drużyny Harcerskie.

Zapomniałem jeszcze dodać, że w marcu przyszliśmy z pomocą przy oprowadzaniu wycieczki Górnośląskiej.

Tak wygląda w krótkiem zestawieniu faktów bilans pracy drużyny w ubiegłym miesiącu.

Wkrótce napiszemy o projektowanej wycieczce zagranicznej, na którą mamy już zaproszenie z Anglji i o której znaleźliśmy wzmiankę w jednej z gazet warszawskich.

Czuwaj!

„Trzynastak" z Warszawy.

LWÓW.

Najstarsza drużyna Rzeczypospolitej święciła 20 kwietnia b. r. piętnastoletnią rocznicę swego powstania. Jest to I. Dr. Lwowska im. T. Kościuszki.

Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem solennem, odprawionem o godz. 9 rano w Bazylice archikatedralnej. Po nabożeństwie drużyny harcerskie przemaszerowały ulicami miasta do gmachu Ogniska Oficerskiego przy ul. Fredry, gdzie o godz. 11-tej odbyła się uroczysta Akademja.

W pięknie udekorowanej sali ustawili się pod ścianami harcerze, podjum zajęła I. lwowska drużyna ze sztandarem.

Gdy do sali napełnionej szczelnie publicznością weszła Rada Naczelna Związku Harcerskiego z prezesem dr. Strumiłłą, ozwał się okrzyk powitalny hasłem harcerskiem: „Czuwaj".

Następnie dr. Strumiłło zainaugurował akademję krótkiem przemówieniem, w którem skreślił doniosłą rolę, jaką Lwów spełnił, zakładając u siebie przed laty 15 pierwszą drużynę skautową i w ten sposób dając początek ruchowi harcerskiemu w Polsce. Życzeniem, aby I. Drużyna harcerska rozwijała się nadal jak najpomyślniej i wzrastała w siły, zakończył dh. prezes swoje przemówienie.

Następny mówca p. rektor Niemczycki również podkreślił rolę, jaką odegrał Lwów, dając genezę polskiemu skautingowi, poczem zaznaczył, że w obronie Lwowa i odparciu

nawały bolszewickiej I. drużyna harcerska ma swą chlubną i wspaniałą kartę, którą przypieczętowało 9-ciu jej członków śmiercią bohaterską.

Całe zebranie powstaniem oddało hołd pamięci tych młodych bohaterów.

Red. Przybyła powitał najstarszą polską drużynę harcerską imieniem młodych harcerzy śląskich, którzy zahartowali swe siły w zmaganiach plebiscytowej roboty. Następnie red. Przybyła poświęcił gorące wspomnienie zasłużonemu organizatorowi ruchu skautowego we Lwowie śp. A. Małkowskiemu.

Po tem przemówieniu nastąpiła chwila głęboko wzruszająca. Oto wdowa po zasłużonym działaczu p. Olga Małkowska, obecna na uroczystości wraz z małym synkiem, wstąpiła na podjum i głosem łamiącym się z bólu, a jednak silnym i jasnym przedstawiła zebranemu harcerstwu śmierć swego małżonka, jako wzór wcielenia w życie ideałów harcerskich. Został on wysłany w r. 1919 z Marsylji do Odesy, jako przedstawiciel armji Hallera. W czasie owym żegluga była bardzo niebezpieczną z powodu wielkiej ilości min. Zdając sobie z tego sprawę, śp. p. Małkowski zamienił swoją kajutę I-szej klasy z kobietą, która wraz z pięciorgiem dzieci zmuszona była zająć kajutę najniebezpieczniejszą na spodzie okrętu. I istotnie okręt natknął się na minę, a śp. Małkowski padł ofiarą wybuchu.

Na dalszy program złożyły się: chór VII. gimnazjum, deklamacja dha Pisarskiego i krótki wykład prof. Wł. Kucharskiego o ideologji harcerstwa, poczem odśpiewano „Rotę„.

Następnie pochód harcerzy udał się do parku Kilińskiego, witany entuzjastycznie przez publiczność.

ŻYCIE HARCERSKIE W CHORĄGWI BIAŁOSTOCKIEJ.

Głośny niegdyś Wersal Podlaski obecnie jest siedzibą Chorągwi Białostockiej. Chorągiew liczy 561 harcerzy (dane z dnia 1 stycznia 1925 r.).

Na terenie Chorągwi znajduje się 20 drużyn w jedenastu środowiskach: Białystok ma 4 drużyny, Grodno 1, Suwałki 5, Augustów 2, Swisłocz 1, Grajewo 1, Łapy 1, Bielsk-Podlaski 1, Starosielce 1, Sejny 2, Wołkowysk 1. Na I Zlocie Narodowym było z Chorągwi 82 dh., z tego 2 drużyny, stając do zawodów, otrzymały nagrody.

W dobie obecnej Chorągiew w celu podniesienia poziomu drużyn, urządziła zawody wszystkich drużyn męskich.

Zawody rozpoczęły się 1 listopada 1924 r. i trwać będą do 1 maja 1925 r.; ocena pracy dokonaną zostanie przy pomocy punktów.

Odczuwa się tylko brak zainteresowania społeczeństwa ruchem harcerskim. Żywsze jednak drużyny borykają się z tem starając się wszelkiemi sposobami obudzić to zainteresowanie.

W styczniu b. r. 4 biało-tocka dr. Seminarjalna im. Zawiszy Czarnego obchodziła 5-cio lecie istnienia drużyny na terenie Seminarjum Nauczycielskiego w Białymstoku.

Założona 17 stycznia 1920 roku, dzięki usilnej pracy kierowników potrafiła wzbudzić zaufanie i zyskała serdeczne poparcie władz szkolnych.

Mury gmachu szkolnego zdobi tablica ku czci pamięci dwóch harcerzy, wychowanków tej szkoły, bohaterów, którzy złożyli swoje życie na ołtarzu Ojczyzny w czasie nawały bolszewickiej. Są to druhowie: Hryniewiecki Roman i Roszczyk Zbigniew. Obecnie drużyna (pod komendą dh. Matyjaszuka) liczy 25 dh. w trzech zastępach; wszyscy mają stopień 3-ci. O innych drużynach powie wiersz p. t. „Drużyny białostockie".

CHEŁMIEC (koło Sącza).

Dzieją się czasem na ziemiach polskich dziwne, bardzo dziwne rzeczy.

Oto 15 bm. byliśmy świadkami krew w żyłach ścinającygo zajścia. Między godz. 19 a 20-tą wracała z ćwiczeń drużyna harcerska pod komendą dh. Ludwika Kowzana, ucznia V klasy gimnazjum, syna pułkownika w Nowym Sączu. Na maszerujących przez Chełmiec napadli bez najmniejszego powodu Niemcy: niejaki Jan Hoffmann, Weinbrenner Fryderyk, Gruber Zygfryd, Herr Otton, Karol i Juljan, ci ostatni synowie wójta Herra Konrada i wielu innych sfanatyzowanych Niemców w wieku od 13 do 18 lat, których już nie można było rozpoznać wśród ciemności i zbiegowiska. Ci, bijąc harcerzy pięściami i kamieniami, pędzili przed sobą naszą nieszczęśliwą młodzież około pół kilometra, poczem pouciekali. Wśród pobitych najwięcej ucierpiał uczeń szkoły powszechnej, Chrzanowski.

Nadmienić należy, że napadu dokonano koło posterunku policji państwowej, lecz nie znalazł się żaden stróż bezpieczeństwa publicznego, aby poskromnić szowinistów pruskich, zamieszkujących ziemie polskie z tytułu nadania im kolonij przez cesarza austrjackiego, Józefa, II.

W poprzednim numerze „Harcerza" umieściliśmy korespondencję z Torunia, wspominającą o zawodach lekko - atletycznych drużyn harcerskich w Toruniu. Niniejsza fotografja przedstawia zawodników przed rozpoczęciem biegu.



ŚWIAT KSIĄŻEK.

Ernest Seton Thompson. Dzielny Rogacz i inne opowiadania z życia zwierząt, spolszczyła Marja Arct-Golczewska, wyd. Arct, r. 1924, str. 203.

Walka, którą toczą ze sobą istoty żywe o prawo istnienia, jest twarda i nieubłagana. Zwyciężają w niej zazwyczaj jednostki silniejsze, lub doskonalsze. Niekiedy więc walka ta bywa czynnikiem postępu.

Człowiek także w niej uczestniczy. Może wspomagać, lub zwalczać zapaśników, może nieraz decydować o rezultatach współzawodnictwa w przyrodzie.

Książka Thompsona za bohatarów obrała zwierzęta piękne, odważne i szlachetne. Są to: niedźwiedź, lis i kozioł górski. Od dzieciństwa wyróżniają się z pośród rówieśników, aby w młodości zadziwiać doskonałością kształtu i przenikliwością instynktu. Człowiek o duszy dostojnej nie zburzy ich bytu. Oto młody myśliwy patrzy na obronę stada przed wilkami. Kozioł górski, jako przewodnik, stawia czoło wrogom. Zwycięża je w nierównej walce dzięki odwadze i szybkości decyzji. Myśliwy stracił przez niego swe cenne psy, ale choć znalazł się na 50 m. od rogacza: „Nie pożądał on teraz życia tego bohaterskiego stworzenia, ale z błyszczącemi oczami siedział wzruszony i szeptał: „Waleczny bojowniku, nie pytam teraz, co zrobiłeś z memi psami, wiem, że walczyłeś uczciwie"... Zawziął się jednak na Rogacza inny myśliwy i pokonał go podstępem. Oto, jak go przedstawia autor: „Był niegdyś pewien podły człowiek, który nie mogąc się niczem odznaczyć, chciał wsławić swe imię zburzeniem najpiękniejszych budowli na ziemi".

Każdy z bohaterów książki ma swoją odrębną postawę, swój własny tryb życia, każdy też inny los. Samotnik niedźwiedź, od pierwszych dni sierota, omija szczęśliwie zasadzki ludzi, zwycięża wrogie sobie zwierzęta, a w starości utraciwszy siły, idzie ku szczelinom górskim, wydzielającym gazy trujące. Szuka spoczynku, ukojenia. Pragnie śmierci.

Książkę pisał miłośnik i znawca dzikiej przyrody, wielbiący wszystko, co doskonałe pod słońcem.

Z. Szmydtowa.

ca. Po kilku minutach Roy ze zdumieniem przyglądał się twarzy o łagodnem spojrzeniu, odbijającej się w szerokiem lustrze. Kapelusz i kołnierz duchownego oraz parasol dopełniały obrazu.

— Obawiam się, że mało zmieniliśmy nasz wygląd — oświadczył Darrel, skoro wyszli.—Robotnicy nieraz przyglądali nam się z zaciekawieniem.

Roy w pelerynie z biblją pod pachą z podełba przyglądał się rozpaczliwym wysiłkom swoich nóg, walczących ze zbyt długiemi połami okrycia.

— Boję się, żebym nie upadł!—rozpaczliwie wyszeptał.

Noc była jeszcze zupełna, w oknach jednak biur nie było już żadnych świateł. Kilkakrotnie Roy słyszał kroki, ale Darrell uspokoił go, mówiąc, że to są nocni stróże.

— Składy posiadają trzy wejścia,—powiedział Darrell — będziemy zatem działali osobno.

Zbliżyli się do siebie, aby omówić sposób działania, gdy nagle, zupełnie niespodziewanie, zabłysło światło w oknie gabinetu inżyniera.

— Jest to gabinet, w którym dzisiaj byliśmy i gdzie znajduje się kasa—oświadczył Darrell.

To powiedziawszy, bez szmeru prześlizgnął się przez bramę w kierunku budki szyldwacha, gdzie oznajmił krótko: złodzieje, proszę natychmiast obstawić, wszystkie trzy wejścia!

Widząc zaś podejrzliwe i wahające spojrzenie wartownika, przedstawił mu swoje dokumenty. Po paru minutach wszystkie wyjścia były dostatecznie ubezpieczone. Pozatem w paru miejscach ustawiono po kilku robotników z nocnej straży. Po zrobieniu tych wszystkich rzeczy, Darrell, rozejrzawszy się, spostrzegł, że Roy gdzieś się zapodział.

Ten ostatni tymczasem posuwał się w ciemnościach w kierunku gabinetu inżyniera. Po tylu godzinach oczekiwania, przy nadarzającej się sposobności, nie mógł powstrzymać się od natychmiastowego działania. Zbliżywszy się do wejściowych drzwi, nacisnął je lekko. Otworzyły się bez dźwięku. Zatrzymał się na na parę sekund trwożnie, niepewny i wahający się. Po chwili jednak ruszył naprzód. Było bardzo ciemno i Roy nie znając lokalu, nie mógł się w nim zorjentować. Co sekundę oczekiwał, że zdradzi swoją obecność przez potknięcie się, albo przez zderzenie się z czemś niewidzialnem w ciemnościach. Raz palce jego dotknęły elektrycznego dzwonka, szczęśliwie jednak udało mu się uniknąć silniejszego naciśnięcia.

W kieszeni posiadał elektryczną latarkę, ale jej zapalenie mogło go również zdradzić. Gabinet inżyniera znajdował się na piętrze; zanim znalazł schody, prowadzące na górę, wydało mu się, że upłynął cały wiek. Nagle zdało mu się, że słyszy cichy szmer na piętrze, zatrzymał się natychmiast, serce jego biło szybko. Dźwięki nie powtórzyły się i Roy począł wstępować na schody.

Będąc w połowie drogi, usłyszał skrzypienie cicho zamykających się drzwi. Równocześnie wejściowe drzwi na dole zostały otwarte i Roy, wstrzymując na chwilę oddech, spostrzegł, wchodzącego do mieszkania, Darrella. Detektyw starannie zbadał uprzednio rozkład budynku i biur, co pozwoliło mu ze względną pewnością poruszać się w ciemnościach, szybko też znalazł potrzebne schody.

Skuliwszy się jak najbardziej, Roy pożałował swojej gorliwości. Uprzedzenie Darrella głosem spowodowałoby ostrzeżenie złodzieja.

Rozległ się znowu słaby dźwięk na górze schodów. Z zapartym oddechem Roy oczekiwał na nieuniknione zderzenie. Słyszał on słaby, zaledwie uchwytny szelest końców palców, przesuwanych po ścianie, nagle, czyjeś, wyciągnięte przed siebie, palce musnęły jego twarzy. To nieoczekiwane zderzenie w ciemnościach i powstałe stąd przerażenie spowodowało na schodach mocny hałas. Rozległy się przyśpieszone oddechy, drżące mamrotanie i wreszcie trzask przesuniętego guzika latarni elektrycznej. W tej samej chwili blask silnego światła elektrycznego oświetlił schody.

Darrell, stojąc na dole, przypuszczał raczej, niż słyszał, że ktoś schodzi po schodach. Słysząc nagle jakieś szamotanie na schodach, zapalił latarkę, nie będąc przygotowanym na skutki tego czynu.

Wszystko to, co zaszło, dało impuls Royowi do czynu. Zapamiętale rzucił się on na właściciela, dotykających go palców, zapominając zupełnie, że człowiek ten znajduje się jeszcze na wyższym stopniu. Padając, Roy potoczył się na Darrella i, zanim obaj zdołali się zorjentować, złodziej dał ogromnego susa przez nich. Czyn ten zaskoczył detektywów, pomimo to jednak zapamiętali oni niewyraźny obraz mężczyzny w długim, ciężkiem palcie i z czarną płócienną, dobrze dopasowaną do twarzy maską, z pod której świeciły zaciekłe, złe oczy.

Nigdy przedtem podobna scena nie miała miejsca w tem, tak poważnem, biurze.

Wikarjusz z pogniecionemi i zozbitemi okularami siedział z ogłupionym wyrazem twarzy na ziemi, przygniatając swoim ciałem pomięty kapelusz z dużem rondem; obok zaś z pomiędzy strzępów parasola trwożliwie wyglądała Ilia'a, anielska twarzyczka chłopca w długiej sukience.

Pierwszy odzyskał przytomność chłopiec. Schwycił on leżącą obok książkę i z nadzwyczajną zręcznością rzucił w skaczącego złodzieja. Trafiła ona uciekającego w sam środek karku. Silniejszy rzut mógłby spowodować śmierć, lub przynamniej ciężkie ogłuszenie, był on jednak niemożliwy w pozycji siedzącej.

W pierwszej chwili wydało się, że złodziej został zabity, jednakże w następnej sekundzie zerwał się i rozpaczliwie począł uciekać. Na wołanie detektywów nadbiegło kilku ludzi, którzy rzucili się w pogoń za uciekającym.

— Czy czasem on nie ucieknie; Frank?— zapytał trwożliwie pomocnik. — Jestem wściekły, że byłem takim głupcem!

— Zupełnie w porę zawracasz mi głowę — odpowiedział Darrell. Wstawszy, udali się w kierunku ogłosów pogoni. Po półgodzinnem, pełnem niepokoju poszukiwaniu, natknęli się na starszego majstra z nocnej zmiany i zakłopotanego komendanta warty.

— Cały czas mieliśmy go na widoku, nim za kotłownię zakręcił—wyjaśnił majster.— Natępnie zaś znikł nam z oczu!

— Nie mógł on również wyjść przez żadną z bram, — dorzucił starszy wartownik — ponieważ były one dobrze pilnowane, pozatem zabrałem ze sobą klucze.

— Proszę zatem dobrze przeszukać wszystkie budynki—polecił Frank Darrell; Sam zać z Royem szybko udał się do gabinetu inżyniera. Kasa była zamknięta i napozór nienaruszona.

— Dzięki Bogu!—westchnął Roy, w tym samym momencie Darrell wskazał na leżącą na podłodze rozerwaną kopertę, a na niej napis dobrze znanym detetywom charakterem głównego inżyniera.

Zdaje mi się, że plany zostały skradzione — poważnie powiedział Darrell.— Złodziej zamknął kasę, aby możliwie dalej odsunąć chwilę wykrycia k r a d z i e ż y. Schyliwszy się, celem bliższego obejrzenia koperty, Darrell podniósł z ziemi duży guzik od palta.

— Guzik od palta!—spokojnie wnioskował detektyw. Prandopodobnie, zaczepiwszy się o listwę kasy, oderwał się, gdy złodziej zamierzał wyjść. Sądzę, że będzie on puktem wyjścia, a nawet poszukiwań!

DARRELL ZDAJE EGZAMIN.

Sir Roges Brigkt, główny inżynier, był blady z gniewu i bezsilności.—Ja panu zaufałem w zupełności, panie Darrell — cedził on przez zaciśnięte zęby.—Tak dużo słyszałem o panu! Chodzi tu przecie o pracę całego życia!

Z początku detektyw był również wyprowadzony z równowagi, jednakże po chwili zupełnie się opanował.

(d. c. n.)

PRENUMERATA:

Rocznie	wraz z przesyłką			12 zł.
Półrocznie	„	„	„	6 zł.
Kwartalnie	„	„	„	3 „
Miesięcznie	„	„	„	1 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę.	100 zł.
za pół strony	55 „
za ćwierć strony	30 „

Numer pojedyńczy 50 groszy.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. № 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza" w Warszawie, ul. Traugutta № 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T.Uhma.*

Druk. p. f. „LECH", Sp. z o. o., Koszykowa 33, Tel. 403-66.